ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 12 sierpnia 1922 roku. № 32.

Juljusz German. Powieść.

32) TWARZ Z ZA KURTYNY.

I jednym rzutem sprężona przypadła z rozkrzyżowanemi rękami do stóp Bronicza, waląc ciężko ciałem o posadzkę celi.

— Czy tamta zostanie, gdy ja będę w trumnie? Czy zostanie? Ta, którą pan widział, bezemnie?

Był to krzyk nieludzkiego strachu, krzyk małego dziecka, rzuconego nagle w noc puszczy, krzyk buntu, który, bezsiłą zjarzmiony, wydziera się z krwawej głębi jestestwa ostatnim protestem, nad wszelkie pojęcie skargi i prośby wyniosłym. Takiem jest wołanie kogoś zamkniętego w płonącym domu, głośniejsze od trzasku krokwi łamiących się żarem... A że w tych wszystkich krzykach na dnie samem tli iskra nadziei, to jest wołanie... człowieka. W otworze judasza zjawiła sią wąsata twarz strażnika. Inspektor schylił się gniewnie, podjął szorstko siwą Mańkę, posadził na łóżku.

— Nic ci z awantur i wrzasków nie przyjdzie, miejże rozum przynajmniej choć teraz—przemówił z opiekuńczą jakąś surowością. — A my, panie, pewno pójdziemy? Ma pan chyba dość tej rozmowy?

— Niech pan pozwoli chwilę — rzekł Bronicz.

Urzędnik usiadł na stołku mrucząc: — Że też pana interesuje... Nasłuchały się te mury wszystkich różności. Na jednem przeważnie się kończy. Zostanie... nie zostanie. Ksiądz od tego, niedługo przyjdzie, powie swoje...

W bystrych oczach Bronicza zacięły się silniej stanowcze błyski, skupione do obronnej walki z zimnem zagadki, która z ukrycia powiała nieuchwytnym prądem.

— Czemu mnie o to pytasz? Właśnie mnie? Ja nie ksiądz przecie...

Drżący jeszcze od rozdzierającego krzyku kształt kobiecy zgiął się ku niemu, jak brzoza pod naporem wichru.

— Bo ja się panu pokazała, choć mnie przy tem żywej nie było. A to byłam ja, bo mnie pan poznał odrazu.

— Więc, jeżeli ci o to chodzi,— powiedział powoli, patrząc natężonym chmurnie wzrokiem na jej lica, w burzliwej gęstwie dziwacznie jasnych włosów gipsowo sine, oświecone ostrzami źrenic przenikających jak elektryczne płomyki — tak jest, na kilka minut, może kwadrans przedtem, nim spotkałem cię oko w oko wówczas za miastem, mignęła mi się twoja twarz. Nic więcej, tylko twarz... bez ciała. Majaczyły mi się wpółsennemu, podczas szybkiej jazdy samochodem, różne inne, znajome... I nagle twoja, niewidziana nigdy w życiu... Zupełnie, najdokładniej wyraźna. Tak wyraźna, że, gdym cię w chwilę później zobaczył, nie mogłem rzeczywiście powstrzymać nagłego zdumienia. Dlaczego i skąd przyśniła mi się... nie spałem jednak... ta twoja twarz, nie wiem. Z przyjemnością na nią nie patrzałem, raczej ze wstrętem. To wszystko, czego się możesz odemnie dowiedzieć. A, jeszcze jedno...—ściągnął gwałtownie brwi, zawahał się, jakby nieodpartym przymusem popchnięty, dodał niechętnie. — A mówię ci to dlatego, że z tobą tu na świecie rachunki się kończą i bądź co bądź jesteś ludzką istotą. Nietylko mnie pokazała się twarz twoja... całkiem nieznana...

Cichy, spazmatycznie urwany a kruszcowo dźwięczny jęk wyrwał się z jej piersi. Jakby ktoś dotknął nieoczekiwanie struny napiętej...

— Ujrzała ją z przebłysku... otwartemi zresztą oczami... jedna pani... Cofnęła się zaraz z przestrachem i odrazą. Nie chciała na nią patrzeć, jak ja. Ale... to była także twoja twarz...

Na przelot iskry wydartej z krzesiwa rozchyliły się plamy warg, barwistych jak rozgniecione owoce kaliny, czemś podobnem do uśmiechu. Przezroczysty, nago świetlny płomień spojrzenia zasnuł się bladoszafirową mgłą, zwilgotniał prawie łzami, choć z kątów oczu nie spłynęła żadna.

— Twarz moja... a ja o tem nie wiedziałam. Więc jest we mnie taka, o której nie wiem. Jest.

Oczy jej rozszerzyły się, zogromniały zapatrzeniem w głąb, niewidzące nic wokoło. Końce rozwartych palców przytknęła ciasno do policzków, jakby chcąc wspomódz ten wzrok wewnątrz idący, wcisnąć go w nieznaną toń.

— Pokazuje się obcym... bez mojej woli, bez wiedzy. Czy ktoś posyła ją po prośbie za mną? Ktoś, który bez ustanku szeptał, żeby pan przyszedł, który kazał mi myśleć wciąż o tem, że pan mnie ujrzał. zanim zobaczył... Prosi za mną? Rzuca przed oczy innym moją twarz, żeby... żeby...

Głos ścichł do najlżejszego szeptu, drżącego pokornie przed błyskawicą wieści tajemniczej.

— Mogło mnie... gdzieś tam, w okropnej, twardej jak skała ciemności poznać jakieś zjawisko lepsze, jasne i podać rękę, bym nie zgubiła się, nie zatraciła w strachu, jak w studni bez dna...

Najwyższym, ostatnim wysiłkiem naprężył się blask oczu, wgłębionych w tajń odczucia.

— Więc... komuś, któregobym wzrokiem ani słuchem nie zrozumiała, zależy na tem, żebym nie była sama... komuś warto troszczyć się o taką najpotworniejszą, przeklętą... Nawet nademną z gwiazd cień światła, nawet nademną, bym tam nie opuszczona...

Teraz już polały się po jej licach krople łez niepowstrzymaną kaskadą. Lecz był to płacz cichy, bez jednego szlochu, lękający się urazić, zaćmić echem łkania rozkwitające ziarno myśli, z mroku wyłuskwione... Przemyły się temi łzami z niezmiernego zapatrzenia źrenice. Zwróciły się do Bronicza rzeźwiejsze, świeższe a nieśmiałem pytaniem błagalne.

— Ta pani... widziała mnie taksamo jak pan niby w śnie... ale przez pana, przy panu?...

Bronicz zmrużył powieki niedostrzegalnym prawie ruchem. Targnął nim poryw szczerości, nim zdążył się namyśleć.

— Przez pana... A nie spotkała mnie nigdy przedtem... żywej... nie spotkała jak pan oko w oko... I tak już nie spotka. Więc jeżeli jej ukazałam się... Czemu jej? Czy i ona... czy...

Zastygło na ustach, cofnęło się pytanie.

Bronicz zbladł, groza zaświeciła mu w oczach.

Wyciągnęła przed siebie ręce w najżałośniejszem zaklęciu.

— Nie... nie! Ja tego przecież nie chcę, nie chcę! Niech pan już idzie, bo mogłabym może jeszcze co powiedzieć, a to byłoby źle... Niech pan idzie! ksiądz przyjdzie... O piekle, o niebie słyszałam... gdym była malutka i gdy pierwszy raz w więzieniu... Piekło każdy zrozumie, nieba nikt! Wiadomo, ja potępiona. Kradła, przewalała się z każdym, zabiła... Tego tak odrazu miłosierdzie nie zmyje. Ale choć potępiona, zostanę! Tego światełka już nie zgubię! A tam ktoś rozświetli, nie da zbłądzić... Będę! Jak ta twarz moja, która do innych leciała, gdy ja ciężka gdzieindziej... Będę! Pan nie odpowiedział, ale wiem przez pana! A pan szczerej prawdy szukający... Wiem przez pana... Dziękować za mało...

Osunęła się z łóżka na klęczki, w prostem, sztywnem skupieniu. I nagle schyliła nizko głowę, rozsypując na podłodze rozplecioną, wielką strugę włosów, jaśniejących jak promień księżyca w złotej komnacie, chowając w niej twarz, drganiami wzruszeń ze stężałości wyrwaną, zapłakaną twarz nierządnicy, chowając szyi i ramion białość upiorną. obrosłych dziko żądz żer rozpaczliwy, znikając w tej puszystej, jednolicie połyskliwej fali wszystkiem, co było stygmatem męczarni i chorej z nienasycenia rozpusty, kładąc ją pod stopy odchodzących, istnienia swego pewnych ludzi, jak jedyną urodę godną ostatniego ze światem pożegnania, jak strumień prośby o przebaczenie, płynącej w kraj niezbadany.

Przez osłonięte koszem, zakratowane okno dobiegł stłumiony a przeciągły gwizd dalekiego pociągu i w ciszę rzucił echo czujnego sygnału, goniącego wątłym grotem w przestrzeń nocy.

— Chodźmy — zabrzmiał krótko głos Bronicza.

Inspektor pchnął skwapliwie drzwi celi.

Bronicz oglądnął się w progu na sekundę.

Uniosła za nim głowę, lecz twarz ukryła szczelnie w dłoniach, nie chcąc, by już cokolwiek z niej zobaczył.

Trzask zamków i ryglów. Zbrojny strażnik przyłożył znów oblicze do otworu w drzwiach.

Wyszczerzyła się ku nim czerń innych drzwi, przecinających mur korytarza w równych odstępach. Przodem poszedł, pobrzękując kluczami, atletyczny dozorca więzienny z szeroką, niefrasobliwą twarzą wiejskiego dostojnika, trzymającego krzepko w garści zamożne gospodarstwo, w którem wszystko bez pospiechu w swoim czasie się zrobi.

— Tak—rzekł inspektor umyślnie spiesznym głosem—znamy to: płacze, historje, klękania. Naturalnie. Dziwić się trudno. Gadała, Bóg wie, co. Pod koniec i połowym nie zrozumiał. Co prawda, tom i niebardzo już uważał. Coś pan mówił, że jej twarz przyśniła się komuś, czy zwidziała, a ona w strachu uczepiła się tych pańskich słów, jak szalona. Czego ona właściwie od pana chciała?

Potrząsnął rozłożonemi szeroko dłońmi.

— Ot, kombinacje na sam ostatek. Wszystkiego się chwyta, wszystkiego jeszcze próbuje. Gdzieś, kiedyś przyplątała się panu przed oczy i zaraz sobie ułożyła... A może pan pomoc przyniesie? A nuż się uda? Nie może jej zmieścić się w głowie, że klamka już zapadła.

— Zdaje mi się, panie inspektorze, że, gdyby ją nawet ułaskawiono, nie potrafiłaby już żyć.

— Myśli pan, że to oczekiwanie na śmierć tak już ją zgnębiło? Pewnie, niema dwóch zdań, to kara największa: wiedzieć, że w określonym, pędzącym nieubłaganie czasie... To jest kara. Przy niej ta chwila pod słupem już prawie nic. Ale — wzruszył ramionami—różni są zbrodniarze. W niej to niby coś jeszcze się zrywa, czegoś jeszcze chce. Tak, czegoś chce. A ten jej gach, bandyta, który będzie po niej rozstrzelany... Siedzi tu, w korytarzu na lewo. No, i niech pan sobie wyobrazi... Z wieczora zasnął jak kamień. A teraz? — zwrócił się do dozorcy.

— Zaglądałem do niego—rzekł spokojnie prawie dobrodusznym tonem barczysty mąż o postawie i licach bogatego kmiecia.—Rozłożył się wygodnie. Śpi niczem suseł. Straż mi meldowała, że nie obudził się ani na chwilę.

— Że też tak potrafi... W tem jest coś nieludzkiego — szepnął Bronicz.

Inspektor otworzył drzwi kancelarji, przepuścił go grzecznie.

— Bo to i nie człowiek, panie. Jeszcze nie dowód, że ma oczy, usta, nos i resztę, jak każdy inny. Ot, goryl także do człowieka podobny. Po takim to z pewnością nie zostanie nic, oprócz padliny. Bo nawet zrozumiećby nie mógł, że może coś zostać. Taki to się nikomu przyśnić nie zdoła, — mruknął półszeptem, patrząc na Bronicza z ukosa.

Spojrzał na zegarek.

— O, późno. Za jakąś godzinkę zaczną się zjeżdżać, prokurator, komendant policji, komisarze z urzędu śledczego. A gdy się tylko zrobi dobrze szaro, o pierwszym świcie... Czy pan chciałby może przyglądnać się? Odemnie to nie zależy, ale prokurator chyba pozwoli. Tyle ma względów dla pana...

— Przyglądnąć się?—powtórzył Bronicz ze zdziwieniem. — Ja już przecież...

W ostatnim momencie, nagłym podrzutem woli powstrzymał cisnące się na usta słowa: „już to widziałem".

— O, nie!—zaprzeczył żywo. — Nie mam najmniejszej chęci, przeciwnie...

— I racja—powiedział urzędnik życzliwie.—Dość pan już miał tych wrażeń. No, rozumiem... prosiła. Ale i na tem koniec. Słusznie, wszystko w porządku. Powiem panu otwarcie, że to mi się podoba. Nie znoszę tych, co to dla sensacji, dla połaskotania nerwów lecieliby dziesięć mil, żeby przez minutę zobaczyć, jak z ciepłych ciał życie ucieka. A ilu takich! Hoho, niejedniby grube pieniądze płacili, żeby ich puścić. Owczy pęd gna ludzi. Lecz, żeby człowiek na sto cudzych śmierci patrzył, nigdy siebie jako zmarłego myślą nie ogarnie... Pora mi do moich zajęć. Telefony mam jeszcze różne... kapelan powinien już tu być... Dobrze, że takie noce, chwała Bogu, nie często się zdarzają. A pan to chyba będzie łaskaw chwilkę tu poczekać. Nie mam teraz nikogo pod ręką. żeby pana mógł przeprowadzić. A wie pan już, że po nocy trudno stąd się wydostać. Ale postaram się uwolnić pana niedługo...

Dalszy ciąg nastąpi.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.

LATO.

I.

Porankiem letnim, świeżym jak dziewczyny
młodziutkiej oddech, wybiegam i boso
biegnę po trawie, uperlonej rosą,
w las, co się znaczy nakształt linji sinej.

Jakże radośnie... Po polach się niosą
mgły w słońcu, niczem srebrne pajęczyny
i dzwoni pacierz skowronków jedyny:
Bóg się przechadza niebios mleczną szosą...

Cudną jest duszy komunja poranna,
co się rozchyla, jak kwiat, w ranek letni
i błogosławi wszystkiemu... hosanna!

Cudną jest młodość—tanecznica w fletni
dźwiękach, co płyną z lasu, gdzie rusałki
nagiemi stopy piasek znaczą miałki...

II.

Dymią kadzidła lip złociste — kłosy
żrałego zboża chwieją się — powietrze
senne i ciche — westchnienie najletsze
nie zmąci ciszy południa bezgłosej.

Turkusy niebios przejrzystsze i bledsze —
wzrok zagubiony pomiędzy niebiosy;
przymykam oczy — zda mi się, że włosy
to pachną twoje, rozwiane na wietrze...

Dymią kadzidła lip złociste — błyska
sierp słońca, pieszcząc przymknięte powieki;
o jakżeś sercu mojemu dziś bliska!

Chociażeś ciału, by miraż daleki,
czuję twe usta: na moich się kładą
i płyną po mnie całunków kaskadą...

III.

W to letnie, skwarne, drażniące południe,
w powietrzu wonnem, słodkiem, które, zda się,
pieści, jak usta kobiece, w tej krasie
dojrzałej ziemi, co jarzy się cudnie;

w miłosnych szałów szczęściu, co ułudnie
w uścisk motyle splata i co pasie
dosytem zmysły, w duszy ludzkiej zasię
zamyka cicho przeczuć ciemną studnię —

jestem, jak puhar szumiącego wina
i jak rosnące drzewo, które zgina
ciężar owoców, jak struna napięta

harfy najczulszej, czekająca dłoni,
pod którą zadrży i co ją rozpłoni —
niebieskie krwawo lśnią mi firmamenta...

IV.

Dźwięk kos srebrzysty — koszonego siana
woń przenikliwa, jak młodego ciała,
kiedy je miłość rozgrzeje — zalana
słońcem po brzegi łąka — zgrzebna, biała

koszula młodej dziewczyny — kolana
zuchwało nagie, pierś prężna i mała,
jak wiatrem róża śnieżna chybotana,
przy każdym ruchu kołysze się cała.

Usta, jak gdyby maliny pachnące —
na ustach uśmiech kuszący; jej biodra
szerokie, chwiejne — obietnica szczodra...

Dźwięk kos srebrzysty... Na mokrawej łące
siano miłością pachnie i toń modra
oczu dziewczyny mroczy się — gra słońce...

V.

Pod wieczór w chłodny, rozkoszny nurt rzeki
zstępuję wolno, witany fanfary,
ptactwa dzikiego, co w błękit daleki
zrywa się — płynę pomiędzy szuwary.

Rozkosz jest wszędzie: w słońcu, gdy na szary
popiół twe ciało spala, i gdy leki
na nie nurt chłodny kładzie — w nenufary
przystrajam ciało — rozigrany, lekki,

jak bożek młody, wychodzę z kąpieli...
Spokojny-m, cichy już... Na zmysłów zamęt
dnia upalnego wieczoru sakrament

balsamy kładzie — w obłokach się bieli
łańcuch żórawi — w ich smętnym klangorze
coś gaśnie we mnie, jak to słońce... Boże!

VI.

Wieczór liljowy — na nieb seledynie
Wenus, jak srebrny nenufar, wykwita —
płacz rosy słychać i szept mgieł jedynie;
tętnią jesiennej zagłady kopyta...

Upojnie pachną sianokosy; ninie
w woni ich wszakże, któremi spowita
zasypia ziemia, coś mrze i coś ginie —
twarz jakaś miga, zmarszczkami poryta..

Wieczór liljowy... Smętny, zadumany
powracam... Poprzez złociste tumany
kurzu na drodze, wskroś ciemne aleje

lip dworek stary z modrzewiu, bieleje —
kraśnieją malwy w oknach; tam poniosę
łez mej tęsknoty cichą, czystą rosę...

OSCAR WILDE.

Wędrówka Boża.

Stał sam jeden pośród nocy. I we mgle przed sobą rozróżnił nagle kontury dalekiego miasta. Więc skierował się ku niemu, a gdy podszedł blisko, usłyszał stąpania lekkich stóp, odgłosy lutni i wesołego śmiechu. I zapukał do bramy, a jeden z odźwiernych otworzył Mu.

I ujrzał przed sobą dom, cały z marmuru i na marmurowach oparty kolumnach. Girlandy kwiatów zwieszały się z nich, a pochodnie z cedru płonęły wewnątrz i na zewnątrz domu. Otwarłszy drzwi, cichą stopą wszedł do domu i, minąwszy salę z jaspisu, drugą z chalcedonu, wszedł do sali biesiadnej. Na purpurowem wezgłowiu ujrzał spoczywającego młodzieńca, którego czoło zdobił wieniec róż, a wargi błyszczały kroplami czerwonego wina.

Więc nachyliwszy się nad nim, dotknął jego ramienia i spytał: „Dlaczego żyjesz w ten sposób?"

A wówczas młodzieniec, odwróciwszy się ku Niemu, poznał Go i odparł: „Ależ byłem trędowatym, i uleczyłeś mnie. Jakżeż więc mam żyć inaczej?"

I porzuciwszy ów dom, znów wyszedł na ulicę; a gdy stał chwilę, pogrążony w zadumie, ujrzał przed sobą kobietę o uczernionych oczach, strojnej szacie i stopach, osypanych klejnotami. Tuż za nią, niczem za swą zwierzyną myśliwy, czaił się w mroku młodzieniec, w dwubarwną przybrany szatę. I twarz kobiety piękną była, jak twarz bożyszcza, a oczy młodzieńca błyszczały pożądaniem.

I zbliżywszy się do niego, ujął jego rękę i zapytał: „Dlaczego tak spoglądasz na tę niewiastę?"

Młodzieniec odwrócił się, i poznawszy Go, rzekł: „Ślepy byłem, a Tyś obdarzył mię wzrokiem. Na cóż więc mam patrzeć?"

I wyprzedziwszy młodzieńca, podszedł do kobiety, dotknął jej szat i zagadnął ją smutnie: „Kobieto nierządna, zali niemasz drogi ponad drogę grzechu?"

A zwróciwszy się ku Niemu i poznawszy Go, niewiasta roześmiała się i odparła: „Wszakże darowałeś mi grzechy moje, a droga, po której stąpam, łatwa jest".

Więc porzuciwszy ją, opuścił miasto. Ale gdy mijał bramy, ujrzał siedzącego przy drodze i gorzko łkającego młodzieńca. I zbliżył się ku niemu a dotknąwszy długich jego kędziorów, zapytał: „O, powiedz mi, nad czem tak rozpaczasz?

Młodzieniec podniósł oczy, a poznawszy go, szepnął: „Jakże nie mam płakać? Wszak umarłem, a wskrzesiłeś mnie..."

Narcyz.

Narcyz umarł; więc jezioro, którem się pieścił i które kochał, zamieniło się w kielich łez gorzkich, a łkające Oready szły doń przez lasy, aby pieśnią swą bóle jego ukoić.

A gdy ujrzały, iż zamieniło jasny kielich swych wód słodkich na kielich łez gorzkich, rozplotły swe zielone warkocze i rzekły:

„Nie dziwimy się, nie dziwimy się wcale, iż płaczesz nad zgonem Narcyza, gdyż Narcyz był piękny".

„Więc Narcyz był piękny?"—spytało jezioro.

„Czemu pytasz o to? Czyż nie podziwiałeś go codziennie? — odparły Oready—nas mijał pośpiesznie, ale ciebie szukał stale, kładł się na twoich brzegach i zatapiając wzrok w twoje głębie, w zwierciadle wód twoich szukał odbicia własnej urody".

A jezioro szepnęło: „Lecz ja kochałem Narcyza, bo gdy kładł się na mych brzegach i zatapiał wzrok w moje głębie, w zwierciadle ócz jego szukałem odbicia własnej urody".

Mistrz.

Gdy zmrok ciemnym płaszczem otulił ziemię, Józef z Arymatei zapalił pochodnię i zeszedł z gór w dolinę. Miał bowiem pilne sprawy w swoim własnym domu.

A gdy mijał strome stoki Doliny Rozpaczy, ujrzał klęczącego młodzieńca, któren nagi był i który płakał. Włosy miał koloru dojrzałego miodu, a ciało było do białego kwiecia podobne, lecz cierniami poranił swe ciało, a włosy przysypał popiołem.

I ów, który możny był i znany, rzekł do łkającego i nagiego młodzieńca: „Pojmuję, że ból twój musi być ogromny, bo Rabbi mędrcem był i sprawiedliwym".

A młodzieniec odparł: „Nie nad nim rozpaczam, ale nad sobą, bo oto i ja zmieniałem wodę w wino, leczyłem trędowatych, wracałem wzrok ślepym. Chodziłem po falach wspienionych; uzdrawiałem opętanych; na pustyni, gdzie brakło pożywienia, karmiłem łaknących; wskrzeszałem umarłych, a jednem słowem zmieniłem figę kwitnącą w suche drzewo. Wszystko, co człowiek ten, mistrzem zwany, czynił i ja uczyniłem, a jednak nie ukrzyżowali mnie".

Artysta.

Jednego wieczora owładnęło nim pragnienie wykucia posągu „Chwilowej Rozkoszy". Poszedł więc w świat, aby szukać bronzu, bo prace jego, jak i myśli, kute były w bronzie.

Jedyną jednak bryłą bronzu, jaka pozostała na świecie, był posąg „Wiecznego Cierpienia".

Posąg ten wykuł własnemi rękoma i postawił na grobie jedynej istoty, którą w życiu ukochał. Na grobie jej go postawił, aby było dowodem wiecznie żywej miłości i symbolem wiecznie trwającego cierpienia. I w całym wszechświecie nie było innego bronzu ponad bronz tego posągu.

Więc wziął dzieło swoje i, włożywszy w wielki piec, stopił.

I z bronzu, który był niegdyś obrazem „Wiecznego Cierpienia", wykuł obraz „Chwilowej Rozkoszy".

Tłómaczyła *Halina Evert.*

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

26) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Po raz pierwszy wreszcie u steru rządu znaleźli się ludzie energiczni. Tamci z nad Donu, owi oficerowie bezwolni, owi kłócący się pomiędzy sobą generałowie, czy oni potrafiliby ich obalić? Sawinski w obecnem swem usposobieniu nie miał cienia nadziei.

— Ależ w takim razie—myślał—jestem warjatem, narażając swoją wolność, a może i życie dla sprawy, w której upadek tak nie wątpię, jak w moją obecność w tym pokoju? Można się poświęcać, gdy się wierzy w powodzenie, ale gdy się jest pewnym przegranej, na to mogą się zdobyć tylko mistycy i marzyciele. Ja nie jestem mistykiem, ani marzycielem. Jestem finansistą. Po co wplątałem się w tę awanturę? Wyłącznie dlatego, jeżeli mam sobie prawdę powiedzieć, że mam sympatję dla Spaskiego, ale ta sympatja może mnie drogo kosztować!

A jednocześnie Sawinski czuł doskonale, że nigdy nie zdobędzie się na zerwanie ze Spaskim, i to poczucie pogorszało jeszcze jego zły humor.

— Niech go djabli porwą—pomyślał, wstając.

Zapalił papierosa i spojrzał na zegarek. Było pół do siódmej. Dlaczego Lydja nie telefonowała? Tu także wplątał się w położenie bez wyjścia. Lydja zawsze będzie widziała w nim tylko przyjaciela. Zapewne, czuł się zdolnym grać tę drugorzędną rolę. Będzie na tem cierpiał, oczywiście, i w końcu jakiś młodzieniec przyjdzie i zabierze ją.

Tu również nie mógł się spodziewać powodzenia, i tu również wiedział, że nie znajdzie w sobie ani chęci, ani mocy do rozstania się z nią. Przewidywał długie cierpienia, ale cierpienia, zadane przez Lydję, były mu droższe, niż rozkosze, jakie mu inne dać mogły.

— Ach! jakie to wszystko niedorzeczne—westchnął—tracę w tem głowę. Ale rzeczy tak się ułożyły i za nic na świecie nie chciałbym, żeby się ułożyły inaczej.

Weszła pokojówka. Zastępczyni służącego, który uznał za rozsądne opuścić Piotrogród, była kobietą w pewnym wieku o spokojnej, miłej twarzy. Sawinski przyzwyczaił się do Anuszki, która chodziła koło niego z największą troskliwością.

Rozmawiała z nim często o jego żonie i dzieciach, których nie znała, ale których fotografje stały na biurku. Borys był jej ulubieńcem.

Wszedłszy teraz, popatrzyła na swego pana, siedzącego na otomanie w postawie zgnębionej.

— Baryń dziś zmęczony — rzekła.—Może podać wcześniej obiad?

Sawinski wzruszył ramionami.

— Jak chcesz, Anuszka, nie jestem głodny.

— To nie dobrze żyć tak samemu w dzisiejszych czasach, baryń — rzekła łagodnie. — No, podam panu zaraz obiad. To panu dobrze zrobi.

Podeszła do pieca i przyłożyła do niego rękę.

— Nie będzie panu zimno dzisiaj—rzekła i wyszła spokojnie.

W tej chwili Sawinski usłyszał dzwonek u drzwi wchodowych. Miał nerwy tak roztrzęsione, że drgnął. Jakaż tam nowa nieprzyjemność, czy jaki nowy natręt? Chciał przywołać służącą i powiedzieć jej, że niema go w domu dla nikogo. Ale ta już otworzyła drzwi. Było zapóźno.

Czekał kilka chwil ze zwieszoną głową. Dały się słyszeć lekkie kroki na dywanie. Podniósł oczy. Lydja stała przed nim.

Była w futrze. Stała wyprostowana z głową nieco w tył odchyloną, z oczyma utkwionemi w Sawinskim. Jego wzruszenie było tak wielkie, że nie zauważył jej pomięszania, które starała się ukryć. Zresztą ona pierwsza odzyskała panowanie nad sobą i rzekła do Sawinskiego, który stał nieruchomo, jak odurzony tem zjawiskiem:

— I cóż, Mikołaju Władymirowiczu, tak to pan przyjmujesz swoich gości? Tak mnie pan witasz, gdy przychodzę do pana z pierwszą wizytą?

— Lydjo Siergiejewno — przemówił — proszę mi wybaczyć. Nie wiem, czy śnię. Byłem pogrążony w najczarniejszych myślach... A tu, widzę ciebie.

Ujął obie jej ręce i stał tuż przy niej. Woń młodości napełniła pokój, w którym przed chwilą udręczał się samotnie. Ciepło pieca wydało się silniejszem, elektryczność — jaśniejszą.

— To pani—ponowił—u mnie!.. A ja cię nawet nie proszę siedzieć, nie częstuję cię niczem. Ale spodziewam się, że zostaniesz trochę. Odprowadzę panią potem. Proszę zdjąć futro, Lydjo Siergiejewno, zaziębiła byś się, wyszedłszy. Widzisz pani, mam małe mieszkanko, ale ciepło tu, jak w błogosławionych czasach carów.

Zdjął z niej futro i zdziwił się, ujrzawszy ją w wygorsowanej sukni, jak bywała u Natalji.

— Idziesz pani gdzieś na obiad?— zapytał. — Zapewne do naszej sąsiadki?

Lydja, nie śmiejąc podnieść oczu, odpowiedziała z pewnem pomięszaniem:

— Myślałam, Mikołaju Władymirowiczu, że zaprosisz mnie pan dziś na obiad... ale, oczywiście, nie przeszkadzam panu. Może pan masz coś do roboty? Powiedz szczerze, a pójdę sobie zaraz.

Zdawała się znów tracić pewność siebie; stała się małą, naiwną dziewczynką. Sawinski spostrzegł, że się rumieni.

— Ach! — rzekł — jakaż z pani dobroczynna wróżka, że mnie tak obdarzasz... Czy ja cię zaproszę na obiad!.. Ach!

Umierał z chęci utulenia jej w ramionach, by ją ośmielić, by dać jej uczuć całą radość, jaką mu przyniosła. Ale był tak oszołomiony, że nie śmiał się poruszyć. Nie wiedział, co czynić, co mówić. Wreszcie wstał nagle.

— Muszę uprzedzić moją starą służącę—rzekł.—Powiedziała mi, że ma podobno dobry obiad.

Wybiegł z pokoju. Gdy wrócił, Lydja nie ruszyła się z miejsca, ale odzyskała już panowanie nad sobą i spojrzała na niego z uśmiechem.

— Podoba mi się mieszkanie pana—rzekła z uśmiechem.

— To był dawniej apartament księżny Dolly R... — odpowiedział Sawinski.—To ona kazała obić ściany temi staremi płótnami z Jony, które mu nadają tak wesoły wygląd. Jak pani widziałaś, dom ten przytyka do koszar i mymi bezpośrednimi sąsiadami są ci Pawłowcy, którzy stanowią najgorszy pułk piotrogradzki. Dlaczego tu dotąd nie wtargnęli, nie zasiedli do mego stołu i nie śpią w mojem łóżku, nie mam pojęcia. Uważam, iż to bardzo uprzejmie z ich strony, że siedzą u siebie, bo gdyby im przyszła ochota zmienić mieszkanie, musiałbym im ustąpić potulnie. Sam Simeonow nic by tu nie poradził.

Lydja wstała i oglądała pokój. Zbliżyła się do drzwi, których podwoje były wyjęte i które prowadziły do sypialni. Pośrodku stało wielkie

łóżko; eleganckie, kobiece łóżko, bo okrywała je kapa z koronek i jedwabiu.

Lydja wróciła do gabinetu. Rzuciła okiem na biurko, gdzie w srebrnej ramce stała fotografja Soni, otoczonej dziećmi. Patrzyła na nią długo.

— Żona pana jest piękna—rzekła wreszcie.

— Czyż jej pani nie zna?—zapytał Sawinski zdziwiony.

— Nigdy jej nie widziałam — odpowiedziała Lydja.—Czy to dawna fotografja? Żona pana jest jeszcze bardzo młoda.

— Sonia?—rzekł Sawinski.—Ma około trzydziestu trzech lat. Poszła zamąż, mając ośmnaście.

— To mój wiek—wymówiła Lydja zmienionym głosem.

Umilkła na chwilę. Sawinski milczał również. I znów doznał wrażenia, że coś tajemniczego stanęło pomiędzy nimi. Ale nie zastanawiał się nad tem, nie dociekał przyczyny. Radość obecności Lydji w jego mieszkaniu napełniała go takiem upojeniem, że głuszyła sobą wszystkie inne uczucia.

Była tu, u niego, olśniewająca urodą i młodością; ruch jej bioder prawie niedostrzegalnie rytmiczny, gdy chodziła, sposób, w jaki prostowała swój dziewiczy biust, lekkie falowanie piersi, gdy oddychała, głębia jej oczu i ich lazurowa barwa, przywodząca na pamięć wschodnie niebo, złociste sploty jej włosów, zdające się oddawać światłu, co im światło dało; wszystko to było widokiem, od którego nie mógł się oderwać. Nie czuł potrzeby mówienia. Po co? Była tu przy nim, na jawie. Czegóż żądać więcej?

Weszła stara Anuszka. Spojrzała na swego pana, który nie zauważył jej wejścia. Odmłodniał o lat dziesięć. Zostawiła człowieka znużonego, starca prawie. A oto miała przed sobą człowieka w sile wieku z oczyma błyszczącemi, z twarzą jaśniejącą szczęściem. Głosem pełnym słodyczy rzekła:

— Baryń! Obiad podany.

Przy stole podała krzesło Lydji z nadzwyczajną uprzejmością, a gdy Lydja dziękowała jej, skłoniła się bardzo nizko. Poczem, podawszy rosół i pierożki, wyszła.

— Służąca pana przedstawia się bardzo dobrze—rzekła Lydja.

— To zacna kobieta—odpowiedział Sawinski.—Dba o mnie nadzwyczaj.

— Zdaje mi się, że ją bardzo polubię—rzekła Lydja.

Sawinski aż podskoczył. Co ona przez to chciała powiedzieć?.. Czy on dobrze zrozumiał?

Od tej chwili Sawinski coraz mniej był panem siebie. Chwilami jednak trzeźwiał i usiłował rozpatrzeć się spokojnie w sytuacji. Lydji przyszła ochota odwiedzić go w jego mieszkaniu i zaprosić się na obiad; rzecz zgoła niemożliwa dawniej, lecz bardzo prosta dzisiaj, gdy wszystko szło naopak. Ich przyjacielskie stosunki usprawiedliwiały ten postępek, będący tylko pozornie ryzykownym.

Dość było zresztą spojrzeć na tę dzieweczkę, siedzącą naprzeciwko niego, by zrozumieć jej prostotę i niewinność.

„Moja córka jest uosobioną czystością" — powiedział stary książę. Miał słuszność i należało zapatrywać się na wszystko pod tym kątem.

Ale w innych chwilach te rozsądne uwagi pierzchały pod naporem burzliwych myśli. Jedna tylko istniała rzeczywistość: ubóstwiana kobieta była u niego. Znała, niepodobieństwem było, żeby nie znała, uczucia, jakie dla niej żywił i jakie oddawna przekroczyły granice przyjaźni... Zbliży się więc do niej... Pochyli się nad rozchylonym kwiatem jej ust i usta swoje na nim położy...

Podczas gdy miotały nim te sprzeczne uczucia, to namiętnych marzeń i porywów, jakie obecność Lidji nieciła, to spokojnego zastanawiania się nad tak nieoczekiwanem położeniem, którego najdrobniejsze uroki należało wyzyskać, bo te odwiedziny będą krótkie i nie powtórzą sie nigdy, rozmowa pomiędzy nimi to się rwała, to znów nawiązywała. Ale oboje odnaleźli już właściwy dla niej nastrój; nie było w niej fałszywych nut. Nie mówili o rzeczach poważnych. Lydja ożywiała się coraz bardziej. Nowość tego sam na sam, szampan, którego szklankę wypiła, rozproszyły troski, jakie ją dręczyły w ostatnich dniach i których odbicie widział Sawinski jeszcze przed obiadem na jej czystem czole.

Uderzyła go też zachwycająca łatwość, z jaką Lydja przystosowywała się do tego nowego położenia. Nie było w niej ani zakłopotania, ani zbytku pewności siebie. Dziewczyneczka, która czasami ujawniała się w niej jeszcze, zniknęła.

Naprzeciwko Sawinskiego siedziała młoda kobieta, swobodna w tych ramach, w jakich się jej obracać przyszło, i nie dziwiąca się niczemu, co w tej sytuacji mogło się wydawać nadzwyczajnem. Zachowywała się prawie, jak pani domu, i ponieważ Sawinski, stokroć bardziej zmięszany, niż ona, zapomniał o jedzeniu, sama przysunęła mu półmisek. Sawinski jadł mało, a pił jeszcze mniej. Był tak wyprowadzony z równowagi, że lękał się stracić głowę do reszty. Wypił zaledwie jedną szklankę szampana.

Obecność Lidji upajała go skuteczniej, niż najmocniejsze wino, i wciąż myślał tylko o tem, aby zachować zimną krew, boć to nie kobieta siedziała naprzeciwko niego, ładna kobieta, przyzwyczajona do hołdów i wybryków mężczyzn i która wie, na co się naraża, idąc na obiad do kawalerskiego mieszkania, lecz młodziuchna dzieweczka, której oddech był tak świeży, jak wietrzyk poranny, istota, czystą przyjaźń dla niego żywiąca, która wyświadczyła mu łaskę spędzenia u niego paru godzin w okolicznościach, nadających tym odwiedzinom podkład romantyczny. To też wśród tych rozkosznych wrażeń, jakiemi go napełniała obecność Lydji, Sawinski czuł się straszliwie skrępowanym walką, jaka się w nim toczyła.

To skrępowanie spotęgowało się, gdy wrócili do gabinetu. Przy stole ich położenie było ściśle określone odpowiedniemi przepisami i tradycją. W salonie odzyskiwali swobodę ruchów i Sawinski nie wiedział, co począć z tą swobodą. Lydja była bardziej panią siebie.

Usiadła na otomanie; oparła się wygodnie o poduszki i zapaliła papierosa. Wodziła wzrokiem za Sawinskim i jego niespokojne zachowanie się zdawało się ją bawić.

Naprzód Sawinski usiadł przy niej, potem, jak ukąszony, skoczył na drugi koniec pokoju, pod pozorem szukania zapałek, podczas gdy pudełko z zapałkami stało na stoliku, przy otomanie. Potem osunął się na pobliski fotel i wtedy zaczął rozmawiać. W owej chwili, nie zdając sobie może sam z tego sprawy, chciał się jej podobać, chciał ją pozyskać. Oczy jego zdawały się sięgać wgłąb jej serca; pod pieszczotą tego spojrzenia ona zwolna zatracała świadomość; myśli jej błąkały się bezładnie; żyła w danej chwili wyłącznie odczuciami, w jakiemś lekkiem, rozkosznem upojeniu.

Nie zauważyła nawet, że Sawinski zerwał się znowu z fotelu i zaczął chodzić po pokoju, puszczając szybko kłęby dymu z papierosa, aż po długiem milczeniu wyrwał mu się z ust jeden wyraz, będący jakby streszczeniem odbywającej się w nim walki:

— Niepodobieństwo!

Dalszy ciąg nastąpi.